

ADRIANNA FILIMONOWICZ

# TANIEC GÓR ŻYWYCH

Adrianna Filimonowicz

**TANIEC  
GÓR  
ŻYWYCH**



# ROZDZIAŁ 1

Mężczyzna przesadził dwoma susami górski grzbiet i rzucił się w skos stromego, najeżonego skałami zbocza, z którym niewprawny piechur nie ważyłby się próbować. Jana Wardę znały jednak wszystkie okoliczne szczyty. Przedzierał się tędy wielokrotnie – w pogodzie i niepogodzie, czasem nawet nocą, gdy uchodził ze wsi albo zasadzał się przed świtem gdzieś po drugiej stronie tatrzańskiej grani. Tym razem jednak zbrakło mu szczęścia. Potknięcie i upadek. Nim zorientował się, co zaszło, ławka zlodowaciałego śniegu, na której wylądował, ruszyła w dół, porywając za sobą kamienną lawinę. Jan począł szarpać się z wciśniętą za pas ciupagą. Jeden ze zdobycznych pistoletów – pięknie intarsjowanych kapiszonowców – wypadł mu i potoczył się z boczem. Nie było jednak czasu myśleć nad stratą. Mężczyzna gwałtownym targnięciem obrócił się na brzuch. Zdołał zahaczyć ostrzem ciupagi o skalny występ i zahamować. Śnieg i kamienie pognały niżej, a on leżał, tuląc twarz do ziemi i łapiąc gwałtownie oddech. Nagle huknęło. Nabity pistolet, tłukący się wśród kamieni, wypalił, a po nim ozwał się drugi, donośniejszy strzał, mierzony w stronę Jana. Na grani stał zdyszany, węgierski żandarm z karabinem w ręku. Przeładowywał, niemalże nie spuszczać celu z oka.

– Uparty – syknął Warda, dźwigając się ostrożnie na nogi.

Zerknął tęsknie w stronę łagodnego siodła Pyszniańskiej Przełęczy. Obrął niebezpieczną drogę w nadziei, że zniechęci żandarmów do pościgu, ale się przeliczył. Teraz zaś nie miał już wyboru. W zdradliwym, stromym terenie nie było miejsca na kolejny błąd. Jeden Pon Bucek wybaczyć postanowił, nie należało liczyć na więcej. Wołos – pan umarłych i straż-

nik magii – nieustannie łypał z potężnego masywu Wołoszyna, a jego podziemne krainy czekały na lekkomyślnych wędrowców. Żandarm wypalił po raz kolejny – ponownie niecelnie. Krzyknął ze złością i ostrożnie ruszył w dół. Jan nie czekał, aż skróci dystans. Wypatrzył wśród skał znajomą ścieżkę i znów ryzykując poślizgnięcie, pognął ku niej. Dogoniły go niskie głosy – to drugi zbrojny odwoływał kompana meandrującego w trudnym terenie. Rozsądek zwyciężył wreszcie nad zapalczywością i pościg ustał.

Drogę, którą Jan sobie upatrzył, przecinały potoczki. Jedne ledwie ciurkały, szukając sobie dróg wśród skał, inne, wzmocnione topniejącymi na grani śniegami, spadały siklawami ze stromych ścian, śmiało dążąc ku korytom strumieni. Przez dwa przeprawił się ostrożnie, trzeci przesadził jednym skokiem.

– Nie haruj tak – zaszemrał mu za plecami nieludzki, lecz słodki głos.

Brzegina siedziała na chłostanym kaskadą głazie. Woda tańczyła na jej długich, przypominających sitowie włosach i głaskała półnagie plecy. Strąciła ramiączko lnianej sukienki, przeszytej gałązkami brzoź i łodyżkami nierozkwitłych jeszcze kwiatów. Wzdłuż odkrytej nogi – gładkiej niczym oszlifowany kamień – ciągnęły się dwie złote żyły miedzi i tuż nad kolanem wślizgiwały się na wewnętrzną stronę uda.

– Leleja! Myślałem, że niżej cię znajdę.

– Słyszałam wystrzał. – Spojrzała na niego czujnie. – Ranny?

– Tylko potłuczony. Ześlizgnąłem się kawałek. Nic groźnego. – Chciał przysiąść, ale wstała gwałtownie, obryzgując go wodą.

– Gonią cię? – Poczęła się rozglądać.

Spojrzenie lśniących oczu barwy krokusów bacznie lustrowało ściany i przełęcz.

– Cofnęli się. Nie bój, Leleja, nie bój.

Westchnęła.

– Chodźmy w dolinę.

Jan skinął głową i ruszył wzdłuż kaskady, podpierając się ciupagą. Brzegina szła u jego boku, przeskakując lekko z kamienia na kamień. Mogła puścić się z nurtem i w jednej chwili znaleźć się wśród hal czy regli, ale jak wiele razy wcześniej cierpliwie towarzyszyła mężczyźnie. Jej niepokój rozwiewał się z każdym krokiem, zastępowany pogodą budzącej się do życia przyrody Tatr.

Pora była jeszcze przed wiosennym redykiem, halę więc spowijała cisza, a w zacienionych miejscach i na podmywanych zimną wodą kamieniach wciąż gnieździł się śnieg. Usiedli nad brzegiem strumienia, w miejscu, gdzie korzenie przewróconego drzewa wydarły w ziemi sporą jamę. W jej głębi Jan chował zapasowe ubrania, narzędzia i jedzenie, na wypadek przydługiej wizyty żandarmów we wsi. Wyciągnął teraz wystużoną cuchę, okrył się nią szczelnie i rozparł się na kamieniach. Leleja przysunęła się bliżej. Smukłe palce przemknęły po zarośniętym policzku mężczyzny. Jan nie był już młody i sam coraz częściej to zauważał. Twarz miał jak wyciosaną ze skały – pooraną wiatrem i mrozem – o wyrazistym profilu i przenikliwym spojrzeniu. Niegdyś wysoki i barczysty, po przekroczeniu czwartego krzyżyka nagle wysmukłał. Niezmiennie pięknej Lelei to jednak nie przeszkadzało. Wtuliła się w niego mocno, dłoni wplatając w brązowe, za długie nieco jak na góralskie zwyczaje, włosy mężczyzny. Jej chłodny oddech przyjemnie pieścił szyję. Jan westchnął ciężko i odsunął brzeginę.

– Nie mam dziś czasu. Muszę do wsi.

– Bo? – Ciemne źrenice fioletowych oczu zwężyły się drapieźnie.

– Wiesz, że nie będzie jeszcze miesiąca, jak Agnieszkę pochowali. Muszę dopatrzeć siostrzenic i siostrzeńca.

– Siostrzenicy. Reszta już przecież własnych rodzin się dorobiła – poprawiła ze śmiechem Leleja, ale widząc smutek w jego ciemnych oczach, przycichła.

– Rację masz – odparł, wstając. – Ale ta jedna to może być i tak dość kłopotu. Muszę ją przygotować na redyk i mieć

pewność, że potem, jak sezon na zbójowanie się zacznie, nie będzie mnie potrzebowała.

Brzegina zapatrzyła się w dal. Zdawało się, że jej wzrok z łatwością przenika strzeliste turnie i ciężkie masywy, oddzielające ich od małego wąwozu pooranego licznymi jaskiniami. Miejsca, w którym ludzie z Cierpkówki i Wichrzyków zwykli chować swoich zmarłych. Pokiwała powoli głową.

Choć słońce chyliło się ku zachodowi, na utwardzonej kamieniami wiejskiej drodze oraz w obejściach było rojno. Ziemia nie obeschła jeszcze po śniegach, ale ludzie garnęli się już do pracy. Zapachy budzącego się życia, szczególnie intensywne o zmroku i ze świtaniem, rozganiały zimowy marazm. Chwymano łączywie świeże powietrze, strząsano zapach palenisk, wystawiano twarze na najdrobniejsze nawet promienie słońca. Janowi, który wprawdzie nie uczestniczył w tym mrówczym poruszeniu, udzielił się wesoły nastrój. Wiosna dla niego oznaczała początek zbójowania, długie noce pod rozgwieżdżonym niebem – samotne lub z Leleją w ramionach – szaleńcze biegi po graniach i ciepłe czatowanie w jaskiniach czy lasach. Słowem wolność, której nie miał, siedząc kątem u siostry lub gościnnych gazdów.

Dymny Wąwóz, skryty między południową ścianą Raptawickiej Grani a niedostępnym wałem Dymnego Muru, od wieków przyciągał ludzi swoim półmrokiem. Pierw był miejscem obozowania band rozbójniczych, skrytostrzelców, zbiegłych więźniów, deztererów i wszelkiej maści pomyłonych włóczęgów. Z czasem stał się osadą dla ludzi robiących z nimi interesy, aż wreszcie obrósł w kurne chaty otoczone skromnymi gospodarstwami, z uporem walczące o miejsce z napierającą zewsząd przyrodą. Do wąwozu wdzierały się i sięgające do połowy Cierpkowej Doliny lasy regłowe, i bujna zieloność rozpościerających się dalej hal. W cieniu monumentalnych ścian, z których przy każdej ulewie spadały z hukiem kaskady, pleniły się mchy i paprocie, chętnie obrastając podwórza, a nawet ściany chałup. Nad granią Dym-

nego Muru kłębiły się mgły lub chmury dymu przywiewane z karczmi i kuźni nieodległej Doliny Kościeliskiej, w której Jan szczególnie lubił zasadać się na handlarzy i właścicieli okolicznych ziem. Choć w porównaniu z Chochołowem czy Kościeliskiem biedne i nieprzyjazne do życia Cierpkówka i Wichrzyki miały swoją legendę. I wśród górali, i wśród przybywających tu niechętnie i z rzadka żandarmów.

Jan minął przysadzisty budynek karczmy u Raptusa, z której dobiegały śpiewy i zawodzenie gęślików. Ktoś dręczył smyczkiem struny, inny pogwizdywał, paru śpiewało. Przed wejściem, na zwalonym pniu obłupanym z gałęzi, siedziało dwóch poważnych gazdów. Pykali fajeczki w milczeniu, choć twarze mieli skupione, jakby spojrzeniami prowadzili poważną dysputę.

– Scyńście bogi – pozdrowił ich Jan.

– Dajcie bogi – odparł stary Józef Poręba, niespiesznie odwracając wzrok od towarzysza. – Cóż na graniach, Hajduk?

Miał największe stado we wsi, a jego ród mało komu ustępował reputacją. Nieczęsto więc zagadywał do Wardy, którego trzymały się kłopoty, a pieniądź już nieszczególnie. Ale widać i poważanym gazdom wiosna zamąciła nieco w głowach. Jan zatrzymał się, wypadało.

– Rojno, jak na wczesną porę. Od żandarmów, zwłaszcza za granią. Może u Węgrów jacy ważni przyjezdni? Nie wiem.

– No widać, żeś uciekał. Jeszcze cię pewno pamiętają – kontynuował Poręba. Zaciągnął się fajeczką. – Wy to we krwi macie. Wardy wszystkie.

Jan wyprostował się nieco. Skinął głową, ale nie było w tym pokory. Ze swojej krwi był dumny i nie zamierzał udawać, że jest inaczej. Ale gazda nie szukał zwady. Zaśmiał się gardłowo i klepnął po portkach, pięknie wyszytych kolorową nicią.

– Ale dzieci twojej siostrze dobrze wyrosły. Antek dziś już na wyręby pojechał. Ugodziliśmy się, że dom mojemu wnu-

kowi postawić pomoże. Ze dwóch parobków jeszcze wezmą, to się do połowy lata może uwiną.

– Miał sam się budować tego roku – zdziwił się Jan. – Znaczy, chałupę po Agnieszce powiększać.

– Ano! Ale mówił, że twoja siostrzenica kazała tej waszej Niemirze pójść z domu. Luźniej się zrobiło, to jeszcze ten rok przepędzi kątem u siostry. A zarobi, odłoży i na przyszłą wiosnę może nie będzie tej waszej chatyny rozbudowywał, a swoją postawi.

– Dobrze – mruknął Jan wbrew swoim myślom. – A wiecie Józefie, dokąd Niemira poszła? Do kogoś na komorne?

– Rozpytywała. – Gazda wzruszył ramionami i znów pyknął z fajeczki. – Ale gdzie ją przygarnęli, to nie wiem.

– Robotna, gdzieś wezmą – dodał uspokajająco drugi gospodarz.

Jan pożegnał się pospiesznie, rozproszony wieściami. Chałupa, która pozostała po Agnieszce, choć rozbudowana w ostatnich latach, była za ciasna dla całej rodziny. Póki jednak siostra Jana żyła, nikogo z domu popędzić nie pozwalała. Gnieździli się więc razem – ona sama, jej córka z mężem, syn z żoną i Niemira. Zbójnik zachodził do nich jedynie, gdy musiał i przy świętach, choć zawsze witany był z otwartymi ramionami. Teraz jednak Agnieszka zmarła i Kachna najwyraźniej postanowiła zaprowadzić swoje porządki. Mężczyzna zawrócił na pięcie i wszedł do gospody. Jeśli gdziekolwiek wiedziano, dokąd poszła Niemira, to właśnie tam.

– Powiedzcie, gdzie postawić?

Jadźka Kowalowa obróciła się i na moment zmartwiała. W jej oczach zabłyśnął nabożny lęk, a usta szybko złożyły się do bezgłośnej modlitwy. Niemira poczuła, jak coś wewnątrz niej kurczy się niczym lis w jamie, ścigany przez psy. Pon Bucka się nie lękała, ale wiedziała, że starczy jedno spojrzenie, by drapieżna samotność w jej sercu wystawiła pazury. Stała nieruchomo, czekając, aż gaździna się otrząśnie, wciąż z wor-



kiem ziarna przewieszonym przez plecy i dwoma wiadrami pełnymi wody w dłoniach. Nie pochylała się nawet. W istocie ledwo czuła ciężar. Drażniło ją tylko, że nie może odgarnąć z twarzy czarnych włosów, które wymknęły się z warkoczy i łaskotały w nos. Taką dostrzegł ją Jan.

Była drobna przy rosliej Kowalowej – ledwo sięgała kobiecie do ramienia. Zdawało się, że nawet jeśli Podhalański Gazda obdarzył ją niezwykłą siłą, powinna złamać się pod ciężarem jak młoda brzołka. Lecz to nie boskie moce ją wyróżniły.

Jan wszedł na podwórze, pozdrowił gospodynię.

– Jedno wiadro wnieś do czarnej izby. A to zostaw tu. Ziarno do szopy. Jutro zaniesiesz do młyna – rzuciła pospiesznie Jadźka. – Hajduk, wy do męża pewnie? On w karczmie.

– Wiem. Spotkałem go. Z siostrzenicą przyszedłem pogadać. Kowalowa odetchnęła z ulgą. Ulotniła się do chałupy.

Weszli do kuźni. Jan przysiadł na zydłu, Niemira w milczeniu zaczęła rozpalać w palenisku. Płomienie zatańczyły wesoło. Czerwone światło rozlało się po izbie, wyłowiło rozwieszzone na hakach i zalegające ławę obcęgi, szczypcy i młotki, ale nie zdołało zetrzeć śmiertelnej bladości z twarzy dziewczyny. Jasna, lniana koszula bez haftów i także sama spódnica dokładały się do obrazu. Agnieszka – zmarła siostra Jana – kochała przybraną córkę i swoją niebagatelną siłą charakteru zmusiła wieś, by ją zaakceptowała. Nie dało się jednak ukryć, że na Niemirę patrzono jak na odmienicę. Czasem z wdzięcznością, czasem z niechęcią, ale wiecznie z poczuciem dystansu.

– Cóż się stało, że Kachna cię pognała?

– Zośka Antkowa dziecko będzie miała – odparła sucho dziewczyna.

Podeszła do stołu i poczęła porządkować narzędzia. Oglądała je w skupieniu, obracała po kilka razy w dłoniach. Staszek Halka przyjął ją ledwie dwa dni temu, ale chwalił, że uczyła się prędko. Jan wiedział, że kowal dobrze sobie to umyślił. Miejsca w obejściu mu nie brakło – przy kuźni szło

bez trudu wyporządzić komorę – i brał solidną cenę za swoją pracę. Za kąt i garść stawy dostał zaś parobka, o jakiego nie było łatwo ani w Cierpkówce, ani w Wichrzykach.

– Kachna miała prawo. To teraz jej dom. Wiesz, prawda?

– Prawda... – odrzekła głucho Niemira.

I nagle kowalskie kleszcze wypadły jej z rąk i uderzyły głucho o klepisko.

– Ale to był jedyny dom, jaki miałam i jaki będę miała – wykrztusiła. – Wiesz, prawda?

## ROZDZIAŁ 2

Powrót Staszka Halki – zwanego po prostu Kowalem – oszczędził Janowi niełatwych odpowiedzi. Choć część narzucała się sama. Starczyło posłuchać rozmowy Niemiry z gospodarzem, by poznać, jak obca była wszędzie poza chałupą Wardów.

– Będziecie tu chcieli później piecucha?

– Co mówisz?

– Czy będziecie chcieli, żeby piecuch doglądał paleniska. Nie trzeba będzie samemu pilnować, czy nie gaśnie. Tylko inne ofiary niż bożętom trzeba rzucać, bo ziarno to mu się od czupryny zapali.

Jan odszedł szybko. Nie spodziewał się, by Kowal, którego żona twardą ręką rządziła domem i każdej niedzieli, pogoda czy niepogoda, chodziła do kościoła w Zakopanem, zgodził się na porządku Niemiry. Choć niewątpliwie by na nich zyskał. Warda szanował Podhalańskiego Gazdę – Pana Boga, jak go zwał ksiądz jegomość – lecz raczej za jego obojętność godną wielkiego pana niż za zaangażowanie w chłopskie sprawy. Może w Zakopanem czy Kościelisku rzeczywiście znać było jego rękę, ale tu...? W Cierpkówce i Wichrzykach lepiej było żyć dobrze ze starymi duchami, demonami i bóstwami. Ten, kto umiał, choćby był najgorszym łachudrą i obibokiem, mógł liczyć na przychylność mieszkańców. Agnieszka umiała. A Jan chyba jeszcze bardziej. I to zresztą sprowadziło go pod chałupę Gajdów tamtego wieczora, gdy pierwszy raz zobaczył Niemirę.

To się zdarzyło osiemnaście lat temu. Gajdowie już wtedy byli najważniejszym rodem w Cierpkówce. Stary Gajda – mądry gazda – wiedział swoje. Gdy jego wnuczka rodziła

dziecko, poszedł i do księdza, i po Hajduka. Ksiądz obiecał się modlić, rodzinie pokutę przykazał i przypominał o higienie. Długo też mówił o obowiązkach i o tym, by nie prosić pogańskich diabłów w ten czas do chaty. I stary Gajda prosić nie zamierzał. Wiedział jednak, że demony, zwłaszcza złe, same się wproszą, a jeśli dobre mają zastać drzwi zamknięte, to trzeba je udobruchać.

Jan siedział więc na progu chałupy, w której pierwsze okrzyki wydawał Filip Gajda, i pykał fajeczkę, czekając. Najbardziej martwiło go, że dzieciak nie dostał imienia zastępczego, tylko od razu takie jak do chrztu. Sam przez pięć pierwszych lat wołany był Nielub i nie wątpił, że to uratowało mu życie. Nie miał jednak wpływu na decyzję Gajdów ani chęci nikomu nic wymawiać – jego ojciec za wiele życia bezowocnie na tym strwonił. Jan chciał zrobić swoje i iść na hale. Było po Wielkanocy, pogoda już piękna, a na szlakach handlowych ruch.

Nagle spowił go chłód, a do nozdrzy wdarł się trupi odór. Nie waząc się ruszyć od progu, Warda patrzył, jak rosnące pod płotem paprocie więdną, a goryczki gubią kwiaty i podwijają listki. Zmilkły rozśpiewane przed snem ptaki i grające u stóp zbójnika świerszcze.

„Aż tak źle?” – pomyślał, rozcierając gęsią skórkę na przedramionach.

Sięgnął do torebki z poświęconymi pod figurą Wołosa ziołami, wyjął uplecioną z arcydzięgla bransoletkę i obwiązał ją wokół nadgarstka. Chwycił nóż z wrytym tuż poniżej rękojeści symbolem głowy byka.

Niewysoka, chuda postać wychynęła bezszelestnie zza rogu. Szła boso, drobiąc kroczyki, obojętna na wszystko dookoła. Biała, haftowana sukienka płatała jej się między nogami i ciągnęła się po kamieniach. Gdy minęła dom, Jan wstał zdezorientowany. Choć wcześniej tylko raz widział taką istotę, wiedział, że nie mógł się pomylić. To była cicha – przywdziewający kształt dziewczynki demon, przynoszący

dzieciom śmierć. Niosła żelazną różgę, której dotyk odbierał życie. W czarne włosy wpleciony miała wianek zwiędłych kwiatów, a twarz jej była blada, o czarnych usteczkach i ruchliwych, ciemnych oczach. Wszystko przed nią truchlało, nawet wiatr puszczał gałęzie krzewów i cichł. Wyglądała tak jak przed laty, gdy ujrzał ją w Chochołowie, znaczącą swój szlak trupami. Lecz nic poza tym nie było jak wtedy...

Uśmiechała się. Różgę wcisnęła pod pachę, a w ramionach niosła żywe dziecko. Pochylała ku niemu oblicze, palcem szturchała nosek i wydęty brzuszek. Stroiła do spowitej w sukienkę dziewczynki miny, poruszała bezdźwięcznie ustami i pewnie zmierzała przed siebie, ku miejscu, gdzie ściany obu Murów, Raptawickiego i Dymnego, schodziły się, zamykając wąwóz.

Z nieodległego domu Spaleników dobiegł straszliwy lament. Jakiś mężczyzna krzyczał wniebogłosy, wtórował mu skrzekliwy głos staruszki. Cicha uniosła głowę i nagle spojrzała wprost na Jana. Choć twarz miała dziecięcą, z ciemnych oczu biła powaga i dojrzałość. Zbójnik zacisnął mocniej dłoń na nożu. Od zagrody Spaleników dobiegały kolejne krzyki. Ktoś wołał, by ślać po księdza, ktoś inny po Hajduka albo starą Urszulę Gajdową, zwaną Matuszą. Cicha, mrużąc oczy, położyła palec na ustach. Jan ani myślał czynić inaczej. Jeden dotyk różgi starczył, by odebrać życie i dorosłemu mężczyźnie.

– Dziecko nie twoje. Zostaw i odejdz – wyszeptał.

Pokręciła głowę. Pogłaskała końcami palców dziewczynkę, która wciskała sobie w skupieniu pukiel jej włosów do ust. Zza chałupy odezwały się kroki.

– Idź! – syknął Jan, wykonując gwałtowny gest.

Obrócił się ku nadchodzącemu. Biegł parobek Matuszy.

– Cicha przez dom Spaleników przeszła – wydyszał, przesadzając płot. – Anuśka i Jadzka martwe.

Jan spojrzał za siebie – po demonie pozostał tylko szlak obumarłych roślin. Ptaki darły się w dwójnasób, odreagowując strach.

– Wiem – rzucił, choć w tej chwili czuł, że wie jeszcze mniej. – Powiedz Matuszy, że trzeba na dom Gajdów spojrzeć. Tu spokój był, nawet cicha przeszła mimo.

– A ty gdzie?

– Iść muszę.

Wspiął się na grzązki Dymnego Muru szlakiem, którym z wężowozu uciekali zbójnicy, gdy we wsiach zjawiali się zandarmi. Znajoma droga i dotyk skał pod palcami dawały odrobinę pewności, której tak mu brakowało. Nie pojmował, co się stało. Cicha zabiła starszą siostrę i matkę. Najmłodszą córkę zaś zabrała żywą.

– A może mi się zdało? Może to było truchło? – przekonywał się, ale uparcie szedł dalej.

Wiedział, że nie zdało mu się. Wzrok miał doskonały.

– No nic. Trzeba iść – rzucił do siebie.

Opuszczając Niemirę, Jan nie zamierzał odwiedzać domu Wardów. Nie miał ochoty rozmawiać z Kachną, a należałoby. Pogrążony we wspomnieniach zawędrował jednak przed chałupę. Stał i próbował wypatrzeć ścieżkę, którą wtedy obrał, ale monumentalna ściana Dymnego Muru tonęła od połowy wysokości w mgłach. Kryła przed wzrokiem swoje przewieszki, żlebiki i poszarpane linie szlaków, z którymi czasem się mierzył. Zbójnik uśmiechnął się z przekąsem. Tamta noc przed osiemnastoma laty wiele zmieniła w nim samym, choć wówczas tego nie spostrzegł. Poszedł za cichą, bo tak mu się wydało naturalnie. Nie myślał, że to słuszne ani że taki jego obowiązek. Ot, poszedł, bo nogi poniosły... Po latach zrozumiał, że zrobił tak, jak zrobiłby jego ojciec – choćby i u schyłku życia, wiecznie pijany i chory. I tak samo zrobiłby dziad, który nieustannie napominał potomków, by nie lekceważyli krwi wołchwów, która płynęła w ich żyłach. Jan nie lekceważył, ale i nie przykładał do niej wielkiej wagi. Nauk dziadka i ojca słuchał chętnie, bo ułatwiały życie. Cieszył się z przychylności wdzięcznych bożąt i korzystał z zaklęć oddalających choroby czy przywołujących zwi-

rzynę. Okoliczni zbójnicy wiedzieli, że Hajduka z Cierpkówki dobrze mieć przy sobie – zawsze pozna, gdy wzięte na cel zwierzę należy do stada leszego, czy w porę wyczuje, gdy w chmurach czai się wietrzyca. Poza tym jednak niewiele z owej krwi, w ocenie Jana, przychodziło. Dziad przepadł jednej zimy w lawinie, wcześniej odsiedziawszy swoje w Spilberku. Ojciec roztrwoniał kierdel owiec, zapił się, a dzieci, szczęściem już wyrosnięte, zostawił z niczym w chylącej się chałupinie. Ludzie traktowali Wardów z dystansem, przeczuwając, że los im nie sprzyja. Może dlatego Jan i samego siebie z podobnym dystansem traktował. Nie widział się wypasającego owce ani pracującego za parę groszy w Kuźnicach czy w młynie rud. Zbójował i z tym mu było dobrze. Od przekłętych sił, złudnych rusalek czy nieprzewidywalnych leszych trzymał się z daleka jak każdy rozsądny góral. Aż przyszło mu tropić cichą.

W lesie, na halach i w kosówkach nietrudno było ją śledzić. Gdzie postawiła krok, marły rośliny i pierzchała zwierzyna. Jan nadgonił ją, gdy niespiesznie szła Doliną Starej Roboty ku wynoszącym się w niebo masywom, upstrzonym zielenią i czerwienią traw. Powłóczyła nogami w sięgającym kostek błocie rozmokłego od wiosennych deszczów szlaku. Dziecko na jej rękach chwilami kwiliło, a ona zatrzymywała się i z wielką uwagą głaskała je po głowie i twarzy. Jan, to skryty wśród krzaków, to za jakimś głazem, ze zdumieniem patrzył, ile uwagi w to wkładała. Było w tym coś z matczynej troski, jaką Agnieszka otaczała swoje dzieci, gdy były jeszcze maleńkie.

Zawędrowali tak pod ciemne zbocze Starorobociańskiego Wierchu. Stożkowaty, harmonijny szczyt od zawsze pobudzał wyobraźnię. Wszyscy górale wiedzieli, że w jego trzewiach kryły się zarówno wielkie skarby, jak i groźne demony ich strzegące. Cicha z początku meandrowała stromym, szerokim stokiem. W połowie wysokości skręciła jednak ku mniejszemu masywowi, przytulonemu do królują-

cej nad okolicą góry. Żywy Wierch, choć z pozoru skromny i łagodny, rzadko przyciągał wędrowców. W jego zboczach czas i mrozy wydrążyły setki jaskiń, których kominy otwierały się z zaskoczenia pod nogami. Wiatr wygrywał w nich upiorne melodie i straszył nieludzkimi wrzaskami. Górale, którzy przed laty pracowali w kopalniach na zboczu Starorobociańskiego, zawsze stawiali od strony Żywego Wierchu krzyż – do ochrony przed złymi mocami. I niejeden opowiadał o dziwnych, niespokojnych nocach, gdy ten nagle się łamał, a wycia dochodzące z jaskiń wpędzały ludzi w obłęd.

Jan, pomny tych historii, nie postawił nogi na Żywym Wierchu. Obrął szlak wiodący ku pobliskiej przełęczy – wygodną ścieżkę, wijącą się zboczem Ornaku, z której przy świetle pełni mógł swobodnie obserwować cichą. W srebrnej poświacie jej sukienka promieniała blaskiem, a ciemne włosy opalizowały kolorami, których góral nawet sobie nie wyobrażał. Zatrzymała się na szczycie. Ułożyła wygodniej dziecko w ramionach, uwalniając jedną rękę. Chwyliła w dłoń różgę i wzniosła ją, jakby chciała uderzyć w skałę. Zamarła. Żywy Wierch drgnął w posadach, straszliwe dudnienie rozeszło się echem po dolinie i zza grzbietu góry wyłoniła się olbrzymia, demoniczna sylwetka. Jan przypadł do ziemi, nie potrafił jednak oderwać wzroku. Stwór był wysoki jak pięciu ludzi, w połowie przypominał wielkiego capa kozicy, w połowie zaś człowieka o umięśnionym torsie i ramionach. Twarz miał wąską, wykrzywioną w straszliwym grymasie, częściowo ludzką, częściową porośniętą sierścią. Oczy – jedno o poziomej, koziej źrenicy, drugie o pionowej jak u kota – jarzyły się białym ogniem. Trzy pary kozich haków wieńczyły głowę, z której opadały długie, czarne włosy.

– Witysza! – zagrmiał. – Ludzkie dziecko ludziom przynależy. Nie powrócisz z nim do moich jaskiń.

Cicha przycisnęła mocniej maleństwo do piersi. Kiwała się z nogi na nogę jak zakłopotana dziewczynka.

– Porzuć je lub odejdz.



Demon skrzyżował ramiona na piersi i uderzył olbrzymimi kopytami o ziemię. Odłamki skały wystrzeliły na wszystkie strony. Witysza uniosła odrobinę głowę. Najdziwniejszy głos, jaki przyszło Janowi słyszeć, rozniósł się w powietrzu. Samym swoim brzmieniem zdradzał, że istota, która go używa, nie jest stworzona do mówienia.

– Matoha, strażniku, to zaszczyt u wrót cię ujrzeć. – Dygnęła i choć był w tym szacunek, to także jakaś dziecięca niefrasobliwość. – Ona moja. Moja córka.

– Nie, Witysza. Ona jest żywa. Należy do świata ludzi. Odejdź teraz. Popełniłaś błąd, zabierając ją, ale jeśli wrócisz sama, wybaczę ci.

– Nie rozumiesz. Naszykowano mi ją. Ona już moja z woli ludzi. Szczęśliwa będzie ze mną. Moja... – powtarzała cicha, stawiając małe kroki, jakby chciała niepostrzeżenie minąć demona.

Odłamki skał znów wystrzeliły spod koźlego kopyta. Tym razem opadły kaleczącym deszczem na Wityszę. Ta zakwiliła boleśnie i rzuciła się w bok. Matoha zastąpił jej drogę, uniósł złożone pięści do ciosu. W beznadziejnym odruchu zamachnęła się różgą. Skry strzeliły w miejscu, gdzie żelazo zetknęło się z olbrzymim kopytem demona, lecz magia niosąca dzieciom śmierć to było za mało. Olbrzymie pięści spadły na Wityszę. Jan zerwał się na nogi. Zapadła cisza, przerwana dopiero dziecięcym płaczem. Matoha pochylił się nad sponiewieraną demonicą. Przez chwilę zdawało się, że chce dokończyć dzieła, ale on wziął cichą wraz z dziewczynką w dłonie i ruszył w dół. W kilku susach znalazł się w dolinie. Tam złożył je na skraju strumienia.

– Brzeginy, zbudźcie się! – Jego głos pognał z falami. – Dojrzyjcie dziecka ludzi i Wityszy, póki nie dojdzie do zmysłów. Potem powtórzcie jej, że wrócić może, jeśli uczyni, com kazał.

Jan z daleka dostrzegł ledwie zarys sylwetki, która wyłoniła się z wody, a jednak pewien był, iż ujrzał najpiękniejszą

istotę w życiu. Tkwił nieruchomo, póki demon nie zapadł się na powrót w swoich jaskiniach, a potem długo jeszcze walczył ze strachem, który trzymał go w miejscu. Ruszył, dopiero gdy ujrzał, że cicha wstała i odeszła od strumienia. Nie próbowała znów stanąć przeciw Matosze.

Odnalazł ją nad ranem, gdy już ciemna godzina śmierci odeszła, a wiosenne słońce zaczęło kreślić różowe wzory na obłokach. Siedziała w lesie, między zdobionymi rosą głazami. Plecy oparła o jeden z nich, podkuliła nogi i zgięła się w łuk nad złożonym na podolku dzieckiem. Drżała, targana bezdźwięcznym szlochem.

Jan zważył nóż w rękę, ostrożnie szacując swoje szanse. Wyczerpana walką cicha uciekła między święte głazy Wołosa, gdzie mimo upływu wieków wciąż wisiała miła jej aura śmierci. To była zarówno dobra, jak i zła okoliczność. Magiczne kręgi wciąż kryły w sobie ułamki potęgi, o której opowiadał kiedyś dziad Hajduka. Czasem przychyłnej ludziom, czasem gotowej ich pochłonąć.

Jeśli jednak kiedyś ryzykować sięgnięcie po nią, to w blasku jutrzeńki właśnie. Góral roztarł w palcach zmieszany z pszczelim woskiem mech, namaścił nim usta i pocałował nóż. Wspiął się na głaz naprzeciw Wityszy i wtedy go usłyszała. Zerwała się na nogi i rzuciła się do ucieczki.

– Śmierć nie opuści kręgu śmierci! – krzyknął, krzesząc nożem skrę o głaz. – W mocy Wołosa jesteś!

Cicha stanęła w pół kroku i wyprężyła się niczym smagnięta batem. Jan wziął głęboki wdech i starannie cedząc sylaby starej modlitwy, skreślił na skale znak pana podziemnego świata. Podchodził do kolejnych głazów i powtarzał rytuał, aż wrócił do punktu wyjścia. Symbole szerniały, powietrze wypełnił zapach siarki. Witysza przytuliła mocno dziecko i wpatrzyła się trwożliwie w mężczyznę. Powoli wycofała się w sam środek kręgu. Z jej twarzy biła rozpacz i błaganie. Jan ruszył ku niej, trzymając w wyciągniętym rękę nóż.

– Dziecko musi wrócić do ludzi. Rzekłem ci to już we wsi – powiedział tak pewnie, jak tylko był w stanie, choć strach próbował przejąć władzę nad jego głosem. – Oddaj ją. Ona nie twoja. Nie tylko ja ci to mówię.

Dwie wielkie łzy spłynęły po twarzy cichej. Nie walczyła ani nawet nie próbowała grozić. Rozejrzała się bezradnie wokoło, a potem ostrożnie położyła dziecko. Mała bez wątpienia żyła – jej brzusek unosił się i opadał w rytm oddechu – lecz skórę miała posiniałą, a w ciemnych oczach błyskały odbicia czegoś nie z tego świata. Wcisnęła dziecięcym obyczajem palce do ust i bez śladu lęku patrzyła na Hajduka. Podniósł ją. Była ciężka, jakby w jej żyłach płynął ołów.

– Dobrze zrobiłaś, Witysza – oświadczył, obracając się na pięcie.

Gdy mijają głązy, coś jakby szarpnęło go za rękę. Omal nie wypuścił małej. Powietrze zazgrzytało, zewsząd podniosły się skrzekliwe echa i wreszcie głos, którego być nie powinno, dogonił Jana.

– Zrób coś dla mnie... coś ode mnie. Dla niej. Ona taka śliczna. Taka kochana. Nie moja, ale kochana. Błagam, zrób, co poproszę!

Obrócił się powoli, choć instynkt krzyczał, by uciekać.

– Co takiego?

– Imię...

– Imię?

– Dajcie jej pierw Maria. A gdy podrośnie, gdy silna będzie, na zapleciny niech dostanie Niemira. Proszę, bardzo cię proszę.

Dziwaczne odwrócenie tradycji brzmiało jak igranie z losem. Starym obyczajem należało najpierw dać dziecku umniejszające, zastępcze imię, by zmylić złe duchy, póki małeństwo było słabe. Później, gdy podrosło, zaczynało się je wołać tym właściwym – czy to sławiącym zalety, czy wziętym od patrona. Niemira mogło być imieniem zastępczym. Ale z takim po świecie chodzić? I to odrzuciwszy tak potężną

patronkę, jak sama Gaździna Podhala? Ale im dłużej Jan patrzył na zrozpaczoną Witykę, tym bardziej był pewny, że nie radzi niczego, co by dziecku miało zrobić krzywdę. Skinął powoli głową.

– Będzie Niemira – oświadczył, a potem w odruchu, którego sam nie rozumiał, cofnął się i zatarł jeden ze znaków Wołosa. – Pierzchaj teraz na Żywy Wierch.

Wracał do wsi z zamiarem oddania ocalałej córeczki Spalenikom. Dopiero na skraju regli, gdzie natrafił przypadkiem na Harcyka, zrozumiał, że tak się nie da. Młody wówczas juhas, zbójujący czasem z Hajdukiem i wielce go poważający, zbladł na widok Marysi i zastąpił drogę przyjacielowi. Próbowił go przekonywać, a potem zmusić, by naznaczone śmiercią dziecko zabić. Gdy Jan odmówił, chwycił nawet za ciupagę, ale zaraz cofnął się na widok wymierzonego w swą pierś pistoletu. Hajduk wspominał to jako zrozumiałą kłótnię. Żalu nie miał, a nawet wdzięczny był losowi, że podobna rzecz nie wydarzyła się we wsi. Postawił na swoim. Wiedział, że w Cierpkówce są i tacy, co rozumieją. I co wezmą dziecko pod opiekę.

Agnieszka żyła wówczas z dziećmi w sypiącej się chałupinie, sama siłując się z losem, odkąd choroba zabrała jej męża. Przyjęła jednak Marysię i po pięciu latach nazwała ją Niemirą. Ona i Matusza jako jedyne we wsi wiedziały, skąd się wzięła dziewczynka. I obie ostatniej zimy zabrały tajemnicę do grobu.

Wojciech Spalenik czasem patrzył podejrzliwie na dorastającą w chacie Wardów sierotę. Przeczuiwał, że patrzy na własną córkę, i Jan delikatnie to potwierdzał. Lecz niczego nie tłumaczył nikomu poza nią samą.

– Ona już nie była twoja, kiedy tu wróciła – rzucił kiedyś, gdy Spalenik po raz kolejny wpatrywał się jak zahipnotyzowany w idącą przez wieś Niemirę.

– Ona w ogóle nie jest nasza – burknął podпиты juhas, siedzący na ławie obok.

I jego zdanie można było włożyć w usta niemal każdemu we wsi. Janowi było wszystko jedno, co gadali. Sam przez lata stawał się coraz mniej „swoj”. Ludzie wiedzieli, że jego kobietą jest rusałka ze strumienia, że po lesie prowadzą ją niekiedy sami borowi. Tamtej nocy upadła jakaś bariera dzieląca go od dawnego świata. Wkroczył w niego, patrząc na duchy wciąż z respektem, ale i z otwartym sercem. Miał dla nich coś więcej ponad rytuały i obyczaje – uczucia od tych złych, po najpiękniejsze.

Niemirze nie było wszystko jedno. Przywykła do obojętności chłopców na Wielką Polewackę, nauczyła się pogardą odpowiadać na nieżyczliwe spojrzenia i trzymać się z dala, gdy przez wsie szły procesje. Zawsze jednak miała swoje miejsce na ziemi. Nie była zależna od tych, którzy mieli ją za odmieńca. Teraz straciła grunt pod nogami. Patrzyła za odchodzącym Janem i lis w jej sercu kulił się coraz mocniej. Za plecami miała ciemne wnętrza kuźni i wyporządkowaną dla siebie komorę ze skromnym krzyżem zawieszonym nad siennikiem. Dom Kowalów był przeraźliwie spokojny. Duchy powynosiły się z niego lub ukryły głęboko z obawy przed niegościnną gaździną. Na ich towarzystwo nie mogła więc liczyć. Pozostałych bliskich miała w lasach i nad strumieniami, lecz los komornicy wiązał ją teraz obowiązkami. Tych nie zaniedbywała nigdy – czy to wobec ludzi, czy demonów.

– Byle do redyku – wymamrotała przez zaciśnięte zęby i weszła w głąb izby.

Rozrzuciła garść ziarna po kątach i zawołała cicho na bożęta.

Taniec Gór Żywych  
Copyright © Adrianna Filimonowicz  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art Madmortigan / Midjourney  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

książka ISBN 978-83-7995-624-1

ebook ISBN 978-83-7995-586-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Walewska

Korekta: Monika Kociuba

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)



PRZEZNACZNIE MA  
KRUCZE SKRZYDŁA

**#POLSKAFANTASTYKA #FANTASY**



W świecie, gdzie puszcza włada leszy,  
w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród  
chat przemykają zmory i strzygonie,  
młodziutka Venda musi stanąć na straży  
bezpieczeństwa mieszkańców  
Wilczej Doliny.

Fantastyczna seria pełna  
słowiańskiego uroku!

**#POLSKAFANTASTYKA**  
**#LITERATURASŁOWIAŃSKA**





Okrutna słowiańska saga o bogach,  
półbogach i bohaterach.

**#SAGASŁOWIAŃSKA #LITERATURASŁOWIAŃSKA**

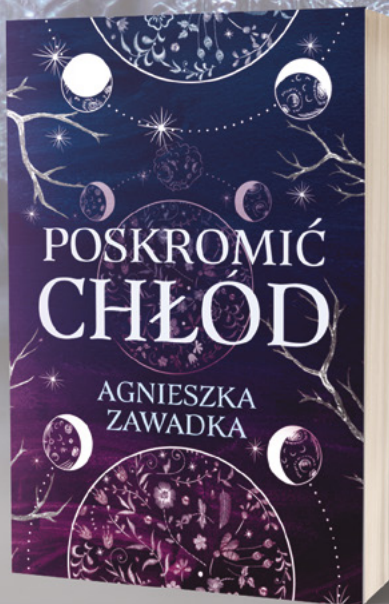


Mury Irkalli drżą.

Inanna, sumeryjska bogini miłości i wojny, przez wieki znana była pod wieloma imionami. Teraz usiłuje żyć jak zwykła śmiertelniczka, ale jej spokój niweczy wiadomość, której nie może zignorować.

**#urbanfantasy #polskafantastyka**





Sienna wie, że nie pasuje do barwnego świata Pałacu Świtu. Ciesząc się przywilejami nieślubnej księżniczki, wie, że prawdziwie niedworskie życie. Czas bez troski jednak dobiega końca. W słonecznej stolicy Pałacu Świtu pojawia się mrok. Odwieczny wróg, władca Pałacu Zmierzchu, żąda spełnienia pradawnej obietnicy.

**#FANTASY #FANTASTYKA MŁODZIEŻOWA**

Czas to niebezpieczna rzecz,  
zwłaszcza w niepowołanych rękach.

A ręce Raven wydają  
się wyjątkowo problematyczne.  
Wśród politycznych gier,  
paskudnych Plag i zawziętej  
cesarzowej niejeden straciłby  
głowę. Na całe szczęście Raven  
dzierży najpotężniejszą z broni –  
zestanego przez gwiazdy pecha  
oraz własną lekkomyślność.

**#POLSKAFANTASTYKA #FANTASY**

